

## ŚLADAMI KOLARZY Z TOUR DE FRANCE

Nazywam się Wojciech Mochocki, mam 25 lat i mieszkam w Lubsku. Jak sięgnę pamięcią od samego dzieciństwa ukochałem rower i wszystko co z nim związane. Już jako mały chłopiec nierzadko uprawiałem rowerowe wycieczki, najczęściej w pojedynkę, jako że w mojej lubskiej społeczności nie sposób było wówczas znaleźć podobnego *świra*, który w wieku lat 12 potrafiłby przemierzyć dystans z Lubka do Zielonej Góry(100km), jadąc składakiem o nazwie *Jubilat 2*. Owa miłość do dwóch kółek zrodziła się na skutek oglądanych relacji w Eurosport, (w czym wielka zasługa mojego taty, który zaszczepił we mnie miłość do kolarstwa) z najtrudniejszego wyścigu kolarskiego jakim bez wątpienia jest *Tour de France*. Wówczas patrząc na znakomitego **Zenona Jaskulę**, który skutecznie dotrzymywał *kola* dwóm sławom światowego kolarstwa : **Miguel'owi Indurain'owi i Toni'emu Rominger'owi**, nie sposób było nie zakochać się w tej dyscyplinie, która chyba jak żadna inna łączy w sobie pasję wspaniałej rywalizacji z bezmiarem otaczającego ją piękna. Wszak proszę pokazać mi dyscyplinę sportu, w której realizatorzy transmisji tak *rozkoszują* się górkami pejzazami, widokami, przełęczami, dolinami, oddając nam widzom całą ich kwintesencję, czyniąc to za pośrednictwem bezprzewodowych kamer umieszczonych na motocyklach, czy helikopterach. Można nie być fanem kolarstwa, lecz na pewno nie można nie docenić jego walorów zewnętrznych. Niegdyś marzyłem sobie : *jak wspaniale byłoby móc zostać kolarzem, rywalizować z tymi najlepszymi, wspinać się po kolejnych szczeblach kariery*. Pewnie tak, aczkolwiek wszystko to nie było mi dane z różnorodnych względów, żeby wspomnieć tylko o jednym: zbyt duża odległość do Zielonej Góry, gdzie znajdował się najbliższy ośrodek kolarstwa(*Trasa Zielona Góra*). Nie potrafiłem połączyć żmudnej nauki szkolnej z niezmiernie trudnym i mocno fizycznie absorbującym treningiem, prowadzonym kilka razy w tygodniu. Z perspektywy czasu śmiem twierdzić, że dobrze się stało. Odpowiada mi rola kolarza amatora, przemierzającego kolejne tysiące kilometrów w poszukiwaniu najgłębszych doznań, licznych wrażeń i w ciągłym poczuciu podniesionej adrenaliny. Wiele razy w swym jeszcze krótkim życiu przejeżdżałem rowerkiem odcinek **Lubsko – Jelenia Góra(170km)**, jadąc na spotkanie z moją ukochaną siostrzyczką **Agnieszka**. Wolałem po stokroć wsiąść na *dwa kółka*, aniżeli w autobus, czy pociąg. Czasem z uwagi na porę roku i warunki atmosferyczne z nią związane zmuszony byłem wybrać to drugie, jednakże traktowałem to zawsze jak zło konieczne. Wszyscy wokół powtarzali mi : *Ty świr jesteś, po co ci to*. A ja zawsze odpowiadałem : *I tak byście tego nie zrozumieli*. Zwyczajnie jestem facetem, który nie wyobraża sobie (i nigdy nie wyobrażał) dalszej codziennej egzystencji bez tego magicznego jednoślada., który stał się jego podstawowym i nierzadko jedynym środkiem lokomocji. Dlatego też zawsze w przerwie zimowej niecierpliwie się, wyczekując pierwszych oznak zbliżającej się wiosny, a kiedy już nadchodzi czym prędzej wsiadam na bacykl. Obecnie *startuję* na rowerze górskim, aczkolwiek najwięcej kilometrów przemierzyłem *szosówką*, która ma tylko jedną zasadniczą wadę : jest bardziej podatna na *łapanie gumy*.

W ubiegłym roku, wraz z moimi przyjaciółmi: **Piotrkiem Węclawskim i Sławkiem Belcarzem**, pokonałem dystans **Lubsko-Chorwacja (2200km)**, jadąc przez Niemcy, Czechy, Austrię oraz Słowenię. Naprawdę warto było toczyć walkę z własnym bólem (w moim przypadku bólem kolan), licznymi słabościami, chwilami zwątpień, bo wszystko to zbladło-stało się niczym - w porównaniu z całokształtem wrażeń, doznań jakich doświadczyliśmy. Wielkie dzięki chłopaki! Wyjazd ten rzecz jasna nie doszedłby do skutku bez sponsorów (na czele z Panem **Antonim Węclawskim** i moim przyjacielem **Piotrem Węclawskim** ze sklepu rowerowego *Wanpol*), których raz jeszcze chciałbym w imieniu własnym, jak i pozostałych uczestników serdecznie podziękować.

W tym roku czeka mnie nie lada wyczyn, a mianowicie stawienie czoła Alpom Francuskim i pokonanie odcinka Lubska-Grenoble (tam i z powrotem). Takie przedsięwzięcie nie miałoby racji bytu gdyby nie mój *pracodawca* Pan **Mike Fuller**, oraz kierownik produkcji Pan **Henryk Kopecki**, którym składam podziękowania za wyrozumiałość i wspaniałe podejście do pracownika, jak również za umożliwienie dofinansowania ze strony firm: UESA POLSKA i CALESA POLSKA. Pragnę jednocześnie podziękować **Panu Ireneuszowi Kurzawie**, oraz całej **Radzie Miasta** za pokrycie niezbędnych wydatków przedwyjazdowych.

Całość może się zamknąć w 4tyś. kilometrach, które muszę pokonać w mniej niż 30dni. Wyruszę 29 czerwca z Lubska. Średni dzienny odcinek do przejechania to przeszło 140km. Punktem docelowym jest miejscowość francuska **Grenoble**, do której planowo powinienem wjechać 7 lipca. Z niej niemal na każdą słynną przełęcz alpejską blisko. Moim celem jest pokonanie przynajmniej pięciu słynnych z rozgrywania wielu etapówek w **Tour de France** -górkach wzniesień takich jak: *L'Alpe d'huez (15.5km podjazdu, na 1850m n.p.m)*, *Col du Galibier (17.5km podjazdu, na 2645m n.p.m)*, *Col du Telegraphe (12km podjazdu, na 1566m n.p.m)*, *Col du Glandon (27km podjazdu, na 1924m n.p.m)*, *Col de la Madeleine (25,4km podjazdu, na 2000m n.p.m)*. Pragnę ponadto zameldować się na metach dwóch alpejskich etapów, w miejscowościach **Courchevel (21,8km podjazdu, na 2004m n.p.m)**, oraz **Briancon**. Około 15 lipca rozpoczęcie drogi powrotnej. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli w kraju zamelduję się około 26 lipca. Prawdopodobnie nie zdołam już pojawić się w równie pięknych co niebezpiecznych (z uwagi na zakręty sięgające często 180stopni) Pirenejach francuskich, z racji dystansu jaki dzieli je od Alp, oraz wymiaru czasowego w jakim zmuszony jestem się zmieścić. Kolarze mają wspaniałe ułatwienie w postaci przelotu samolotowego, ja natomiast zmuszony byłbym do pokonania tego odcinka na rowerze, lub też pociągiem, czy autobusem, co pewnie wiązałoby się bezpośrednio ze sporymi kosztami. Być może uda się nieco zaoszczędzić pieniędzy i tym samym umożliwić sobie przejazd, jednakże na dzień dzisiejszy obstatę jedynie przy Alpach. Cóż to będą za wrażenia, kiedy dane będzie człowiekowi ujrzeć kolejne grupki, grupki kolarzy (trzeba wiedzieć, że wysoko w górach peloton się dzieli), których widziało się przez lata jedynie w telewizji, zmagających się z czasem, jak również z piekielnymi upałami, czy też załamaniem pogody. Wszak w górach nigdy nic nie wiadomo, dotyczy to niemal w takim samym stopniu pogody, co sportowej rywalizacji. Nie od dzisiaj powszechnie wiadomo, że prawdziwi kolarze światowego formatu to sportowcy znakomicie jeżdżący po górach, nierzadko świetnie jeżdżący na czas. Inni nie mają racji bytu jeśli chodzi o tryumf w generalnej-najważniejszej klasyfikacji. Zgodnie z powyższym sprinterzy mający swoje *pięć minut* na etapach płaskich - do których są predestynowani - pokazują na co ich stać, aczkolwiek kiedy tylko zaczynają się prawdziwe *schody*, ustępują pola herosom kolarstwa, co jest zawsze naturalną kolejną rzeczą w każdym *Tourze*.

Moim idolami są bez wątpienia **Lance Armstrong**, oraz **Marco Pantani**, o którym mówiono swego czasu: *ten człowiek ma dar od boga do wspinania się po górach, bożyszcze, pirat, słoniątko*. Ten pierwszy natomiast powrócił z *dalekiej podróży* po chorobie nowotworowej, w czasie której lekarze dawali mu 50 procent szans na przeżycie, słowem nawet nie wspominając o czynnym powrocie do sportu. Ten równie wielki sportowiec co człowiek pojawił się na **Tour de France** w 1998r (zwycięskim dla nieodżałowanego **Marco Pantani'ego**) i oznajmił światu, że powróci tu za rok już nie w roli kibica, a zawodnika, nie po to by dojechać do mety w Paryżu, lecz wygrać *Wielką Pętlę*. Wówczas cały – nie tylko kolarski światek - potraktował jego stwierdzenie jako *wolne żarty*, niedowierzając wypowiedzianym przezeń słowom. Rok później wszyscy - w tym ja sam - byli w szoku na skutek tego co zobaczyli. Ich wspólne górskie pojedynki z roku 2000 zdążyły już zapisać się złotymi zgłoskami w dziewięćdziesięciojednoletniej historii wyścigu.

Gdzież kiedyś - będąc małym chłopcem - pomyślałbym, że będą z czasem realne szanse przeżycia chwil uniesień, emocji sportowych, w roli kibica znajdującego się na miejscu zdarzeń, mogącego niemal dotknąć kolarzy. Ta wizja zarysowała się dopiero po ubiegłorocznej, szczęśliwej, choć mozolnie prowadzonej wyprawie do Chorwacji. Powiedziałem wtenczas sobie: *za rok Tour de France, w pojedynkę, czy też w grupie*. Wychodzi na to, że ta pierwsza ewentualność zwycięży. Mniemam, że zmudne i wyczerpujące przygotowania fizyczne (dodatkowo utrudnione pracą zarobkową), przyniosą właściwie plony w postaci wystarczającej formy do wspinania się po górach, przez które dane mi będzie przejeżdżać po raz pierwszy w życiu. Już dzisiaj jestem wielce podekscytowany tym wyjazdem i pomału odliczam dni pozostałe do jego rozpoczęcia.

Dziękując wszystkim, na czele z **Antonim i Piotrem Węclawskim**, sprawującymi pieczę nad sprawami organizacyjno-technicznymi, umożliwiającymi mi niezwykle potrzebne nauki w kwestiach rowerowych, mówię : DO USŁYSZENIA!!!

**Wojciech Mochocki, dn. 15.05.2005**